

# Od autorki

Drodzy Czytelnicy

Pamiętacie moją *Hanyskę*? Napisałam dalsze dzieje Marii Brunn i jej dzieci. To czasy powojenne. To nasze czasy. To czasy moich starszych sióstr i moje.

Znów odnajdziecie w mojej książce siebie, swoje sympatie i antypatie, swoich przyjaciół i nieprzyjaciół. Powróćcie na chwilę do pięknych lat młodości, które nie zawsze były piękne, które dla nas autochtonów, Ślązaków, Niemców były trudne. Bardzo trudne. Zaś Wy, młodzi, poznacie, jak się Waszym Rodzicom wtedy żyło.

Siedzę tu, w tej mojej wsi. Tu mi się dobrze żyje i dobrze pisze. Tu mi się o ludziach z takiej wsi jak moja dobrze pisze.

Moja książka to fikcja literacka. Jednak to wszystko było kiedyś komuś opowiadane, przez kogoś zasłyszane i przeżywane. I ja to przeżyłam, i Ty też.

Jak dobrze jest pisać o tym, o czym się wie, co się czuje. . .

Jak dobrze jest o tym czytać i móc siebie choć w małym fragmencie książki znaleźć.

Leonia – Helena Buchner

Jelowa, 19 października 2007

# Rozdział 1

Wrzesień przyniósł ciszę, jak co roku. Coś takiego się właśnie we wrześniu dzieje. Dom przedpołudniami pustoszeje i podwórze też jest puste. Dzieci idą do szkoły. Dość tego biegania po miedzach, dość tych kąpeli w rzeczce, dość borówek i jagód zbierania. Już po odpuście na świętego Bartłomieja szykowały się dzieci do szkoły. To, co na zbieraniu jagód zarobiły, wydane zostało na zeszyty, ołówki, piórka, atrament. Na nowe tornistry i teczki nie, bo stare dobre jeszcze były. Książki dla Hanyska też były stare, bo jedno po drugim z nich się uczyło i parę lat te książki na Hanyska czekały. Tylko Liza i Peter nowe mieli, bo do nowej szkoły szli. Erika też stare podręczniki od koleżanki z wyższej klasy odkupiła. Tanio je kupiła, jedynie za to, co sama dostała za swoje.

Jeszcze przed odpustem jechała Maria ze starszymi do miasta po to, co potrzebne było. Dzieci by dużo niepotrzebnych rzeczy kupiły. Kupiłyby okładki na książki i zeszyty, a przecież można je obłożyć w zwykły papier pakowy, albo i w gazetę, kupiłyby naklejki kolorowe do podpisywania, a przecież można na okładce napisać, czyja to książka lub zeszyt. I jeszcze by piórniki kupiły, a te stare jeszcze dobre, solidne, drewniane, tylko je trochę wyszorować trzeba.

Hanysek poszedł do pierwszej klasy. Wielką tytę dostał. Inne dzieci też dostały tyty<sup>1</sup>. I te tutejsze, i te nietutejsze też. To wprawdzie niemiecki zwyczaj i początkowo napływowi się buntowali, że nie będą swoim dzieciom szwabskich obyczajów wprowadzać, ale mądrość tego obyczaju wygrała. Dziecko jest dziecko i słodko-

---

<sup>1</sup> *Tyta* – wykonany z tektury kolorowy róg obfitości wypełniony po brzegi słodyczami, tradycyjny upominek dla śląskiego pierwszaka. Ideą tego prezentu od rodziców jest osłodzenie maluchom perspektywy wieloletniej edukacji.

ści lubi. Maria synka pierwszego dnia do szkoły prowadziła, jak wszystkie matki pierwszoklasistów. Trzymał się maminej ręki, ale poszedł potem z Antkiem Świtalą za rączkę, a Maria się do niego uśmiechnęła i kiwnęła głową zachęcająco, no to się już nie bał i śmieiej poszedł z innymi dziećmi do klasy. Wcale się o niego nie niepokoila. Umiał już czytać i trochę pisać. Przy starszych się tak wyszkolił. Liza i Peter go wszystkiego uczyli. On sobie w życiu poradzi. Tak sobie o nim myślała. Już on ostatni do szkoły pierwszy rok zaczął chodzić. I to znów do polskiej szkoły. Już się pewnie nic nie zmieni. Już jej dzieci Polakami będą, jeśli szybko nie wyjedzie. Bo ze starszymi tak się stało. Erika trzeci już rok do szkoły jeździła. Chciała nauczycielką zostać. Dobrze się uczyła, choć nieraz z płaczem do domu wracała. Te z miasta jej dokuczały. Te z internatu też. To minie, to przejdzie, mówiła jej Maria. Liza i Peter też do Opolą do szkoły poszli. Liza chciała malować, ale się do szkoły plastycznej nie dostała. Poszła do zawodowej i szycia się uczyła. Peter był wprawdzie o rok od Lizy starszy, ale do szkoły poszedł później i razem z nią podstawową szkołę kończył, i teraz za elektryka się chciał wyuczyć. Tak to dzieci do szkół się rozeszły.

A ptaki się do lasu wyniosły. Co będą śpiewać bez potrzeby. Tam do lasu! Po co komu tu przy domach ich gwizdy i śpiewy? Kto ich tu teraz słuchać będzie? Tylko krowy gdzieś na łące ryczały. Do domu chciały, bo już południe dochodziło i wymiona pełne ciążyły.

Poszła Maria po krowy i lasowi się przyglądała. Jeszcze zielony, jeszcze letni, tylko w brzózkach gdzieniegdzie już złotem błyskało. Pierwsze się brzózki na wiosnę zieleniły i pierwsze się jesienily. Patrzyła na poplony zielone i na kartoflisko. Trzeba zacząć powoli wykopki. Nać obsychała i już kartofle nie rosły. Ale jeszcze trochę, jeszcze niech chwilę w ziemi czekają. A głowy kapusty tak wielkie były, że pękały i często się na obiad kapustę jadało. Jeszcze za wcześnie kisić, jeszcze się kapusta w becze zamiast ukisić, zepsuje. Dopiero w listopadzie jest czas na kiszenie.

Jakiś ten rok obfity w plony. Tak wszystko porosło, jak nigdy. Wojna będzie, albo jakie nieszczęście? Ale nie, nic takiego być już nie może. Już niech tak będzie, jak jest. Już jakoś się tu żyje i niech to tak trwa.

Już się nauczyli, już poznali, jak żyje się nie całkiem u siebie, ale jednak u siebie. Na swoim, ale w obcym kraju. Tyle lat uciekło i nic prawie się nie zmieniło. Dalej czeka na wyjazd, dalej żyją w niepewnym czasie. A może właśnie tak ma zostać, może nigdy nie ma wyjechać?

Listonosz jechał na rowerze. Ten sam, ciągle ten sam. Ciągłe złe wiadomości przywozi. Może dziś ma coś dobrego w tej swojej torbie? Maria szybko szła, żeby ją zastał w domu, żeby w końcu doczekać się tych dobrych papierów na wyjazd. Ciągłe odmowa. Może tym razem? Puściła krowy i weszła na podwórko, bo już czekał z urzędowym listem.

– Musicie, Brunko, podpisać, bo to polecony – powiedział.

– Podpiszę, podpiszę. Byleby to dobra wiadomość była.

– Jeszcze *Świerszczyk* i *Trybuna Opolska* – listonosz wyciągał ze skórzanej torby gazety, a Maria czytała ten list.

To była kolejna odmowa, znowu nie i nie. Zgniotła pismo, rzuciła ze złością na ziemię. Listonosz wiedział, co to za złe wiadomości ludzie tutejsi dostają. Mało kto się z urzędowego listu cieszył. Mało do kogo radosna wiadomość przychodziła. Listonosz wiedział o tych tu ludziach bardzo dużo. Wiedział, kto chce wyjechać, kto papiery na wyjazd składa, kto wyjedzie, a komu odmowę jedną za drugą przysyła. Wiedział, kto paczki dostaje, bo kartki na paczki roznosił, jak ktoś ją z Niemiec od rodziny dostał. Potem trzeba było dużo pieniędzy za tę paczkę zapłacić, że niby to cło. Często, a nawet zawsze to stare, używane rzeczy były, czasem jakaś żywność. Jak to mąka była, to rozsypana, ryż, cukier, często wszystko rozsypane, wymieszane, czekolady połamane. Czasem sam papier od czekolady... Jakiś stary, używany płaszcz z odprutą futrówką, spódniczki, spodnie z oderwanym podkładem, buty, dobre jeszcze, ale z oderwanymi obcasami i zelówkami. Od razu trzeba je było do szewca nieść.

Czego tam szukali? Ludzie mówili, że pieniędzy, zaś inni, że jakichś tajnych listów albo meldunków? Potem znów pisało się podanie o zwrot cła, bo to przecież stare, używane rzeczy. Jednak zazwyczaj zwracano tylko część tego zapłaconego cła.

Przyszedł czas, że paczka z Niemiec to był dopust boży: na cło

nie było pieniędzy, a paczkę trzeba było odebrać, bo Barbel sobie pewnie sama odmawiała, żeby coś siostrze posłać – i jak tu paczki nie przyjąć, jak tu taką przykrość siostrze zrobić? Odesłaliby ją. Pewnie tak chcieli. Chcieli pokazać, że u nas tu przecież wszystko jest, że niczego tu ludziom od wroga nie trzeba. I tak to niejedna paczka wędrowała sobie dwa razy przez granicę, dwa razy kontrolowana, dwa razy z czekolady i kawy okradana.

Maria zawsze przesyłkę od Barbel odebrała. Jak nie było na cło, pożyczyla, a potem coś z tej paczki sprzedala i tak jakoś na to cło zawsze uzbierała. Paul też kiedyś paczki posyłał. Kiedyś tak, a teraz już nie. Już dawno nic od siebie nie posyłał: ani listu, ani paczki... ani żadnej wiadomości...

Nieraz sobie myślała, czy żyje. Ale chyba by ją ktoś zawiadomił. Barbel pisała, że też od niego żadnych wiadomości nie ma. Może coś wiedziała, ale nie chciała prawdy pisać. Pewnie sobie już inną kobietę znalazł, tak sobie Maria myślała. Już za nim nie tęskniła, już się samotnie nauczyła żyć. Już by z nim żyć nie umiała. Już się przyzwyczaiła: rodzina to ona i dzieci. Jeśliby nawet te papiery na wyjazd dostała, to po co tam pojedzie, jak Paul jej już nie chce, jak dzieci już prawie po niemiecku nie mówią – i nie chcą po niemiecku mówić, już chcą być Polakami. Ale jednak. Jest w nich przecież niemiecka krew, są mądre, znowu by się szybko nauczyły. Kiedyś przecież słówka po polsku nie umiały, a dziś czysto po polsku rozmawiają, że czasem nawet ona sama nie rozumie niektórych słów. Mój Boże, wzdychała czasem, co by na to Paul powiedział? Złoży jednak papiery jeszcze raz. Tak przecież Paulowi obiecała. Ale znowu straci cały dzień. Tyle tam na milicji w Opolu ludzi czeka. Trzeba swoje odstać. Nie ma rady.

Listonosz dawno już pojechał, a ona siedziała na ławce przed domem i nie wiedziała, co robić. Siły ją opuściły. Czasem tak bywało, że ją siły opuszczały. Kiedy się to wreszcie skończy, kiedy będzie mogła o nic się nie troszczyć? Kiedy wreszcie jakieś pewne jutro nastanie? Może się coś zmieni, jak ten przeklęty Stalin umarł. Ludzie mówią, że się zmieni. Inni znowu, że jeszcze gorzej będzie.

Taki ją nagle smutek ogarnął. Siedziała teraz i płakała, i do żadnej roboty się nie śpieszyła, na nic nie miała ochoty. Krowa wy-

szła z chlewa, jakby zdziwiona, że oto dawno z pastwiska wróciła, a tu nikt jej do żłobu nie przywiązał, nikt jej nie doi? Wstała więc Maria z tej smutnej swojej ławki, bo gdy siedziała na niej, zawsze jakiś ją smutek nachodził, do chlewa poszła Bysię wydoić bo druga krowa – Sieka – cielna była i w południe już nie była dojona.

Hanysek tymczasem ze szkoły wrócił. Wesoly, uśmiechnięty.

– Piątkę dostałem – wołał. – I Antek też piątkę dostał – dodał po chwili.

– No i za co te piątki dostaliście?

– Ja za czytanie z elementarza i Antek też za czytanie. A inne dzieci gorzej czytały, a niektóre wcale nie umiały i dwójki dostały... – szczebiotał i szczebiotał.

– Połóż tornister, pójdziesz ze mną do roboty, a jak Liza i Peter o wpół do trzeciej przyjadą, to z nimi wrócisz, bo Erika dziś dopiero o szóstej ze szkoły przyjedzie – powiedziała do niego Maria. Jeszcze mu chleba z masłem do ręki dała i tak jak co dzień poszła na stację. Teraz, jak się wakacje skończyły i młodzież do szkół jeździć zaczęła, więcej było sprzątanina, więcej śmieci leżało, ubikacje zapaskudzone, podłogi zdeptane.

Liza znowu smutna jakaś z pociągu wysiadła. Znowu płakała. Peter już dawno nie płakał, już powoli stawał się mężczyzną. Maria nie pytała Lizy, dlaczego płacze. Nie chciała tego wiedzieć. Niepotrzebny był jej nowy kłopot. Może to minie. Na początku jest zawsze ciężko. Erice też na początku w szkole dokuczali. Nie tak nauczyciele, co koleżanki.

Dwie tylko Ślązaczki do jej klasy chodziły. Trzymały się razem i jakoś się na te wyzwiska uodporniły. Powoli stały się w szkole Polkami. Nauczyły się mówić bez tej śląskiej manieri i kto nie wiedział, powiedziałby: Polki. Ale szkoła wiedziała, i one też wiedziały. Jej koleżanka, Małgorzata – Małgosia w szkole, w domu – Margotka. A Erika w szkole Eryką była. Czasem do mamy mówiła, żeby i w domu tak ją nazywać. Maria nie umiała imienia swojej córki po polsku powiedzieć, ciągle jej się zamiast Eryka, Erika mówiło. Nieraz żałowała, że takie imię dała córce. To Paul tak chciał – niemieckie imię córce nadać. Ale jej też się przecież to imię podobało.

Liza i Peter wzięli Hanyśkę do domu. Maria nakazała im jesz-

cze zjeść zupeę, co w bratrurze<sup>2</sup> ciepła była. Liza miała posprzątać kuchnię, pozmywać naczynia, a Peter krowy na łąkę zagnać i pilnować, żeby na cudze nie weszły. Ona miała dziś później wrócić, bo dużo roboty na stacji było, a Śliwa już był stary, ale im starszy był, tym gorszy. Ciągłe w pobliżu się kręcił i pilnował, czy wszystko tak zrobiła, jak trzeba. Dalej się go Maria bała, że coś złego o niej powie i mogłaby robotę stracić, a wtedy dzieci nie mogłyby się uczyć i z czego by żyli.

Tak jakoś koniec z końcem wiązali.

Ale ona się myliła, bo Śliwa tylko tak wyglądał i nieraz jej brocił. Nieraz już ją z tej roboty wyrzucić mieli. Jak składała papiery na wyjazd, jak Paula za szpiegostwo sądzili, jak inni donosili, bo niejedna kobieta chętnie by taką robotę wzięła. . .

Śliwa zawsze stał w jej obronie i mówił, że dobrze pracuje, że czworo dzieci wychowuje, jedno cudze, sierotę, któremu rodziców Polacy zabili. Siadał sobie na peronowej ławce i obserwował ludzi wysiadających i wsiadających. To byli ludzie tutejsi. Znał już wszystkich, którzy jeździli do Opola, do Kluczborka. Do pracy, do szkoły, na zakupy, do lekarza, we wtorki i piątki na targ coś sprzedać, coś kupić. Znał wszystkie dzieci Marii. I one go znały. Hanysek często od niego cukierka po kryjomu dostawał. Często Hanysek na stacji bywał, bo był za mały, żeby sam w domu zostać, a starsze dzieci do szkoły chodziły. Znali się więc ze Śliwą dobrze i się wzajemnie lubili. Hanysek „opa Śliwa” do niego mówił, a ten się cieszył i siedzieli tak sobie czasami obok siebie na tej ławce peronowej, a Śliwa mu jakąś bajkę czytał, coś mu opowiadał, a czasem nic nie mówili, tylko tak sobie siedzieli. Stary fajkę palił. Wszyscy tutejsi starzy fajki palili. To było taniej. Tytoń każdy miał w swoim ogródku. Sam sobie go hodował, suszył, kroił, fajkę nabijał i sam sobie wtedy z przyjemnością palił. Czasem się paczuszkę markowego tytoniu kupowało i mieszało z tym swojskim, i wtedy wszystko tak ładnie pachniało. I stary Śliwa taki ogródek miał, i tytoń sobie sam hodował. W małym mieszkanku w stacyjnej kamienicy miesz-

---

<sup>2</sup>*bratrura* lub *bratrula* – w dawnych kuchennych piecach miejsce obok piekarnika i kociołka do podgrzewania potraw

kał i jak inni mieszkańcy tej kamienicy, dostał kawałek ziemi na swój ogródek, a że naczelnik czasu na uprawę nie miał, on cieszył się podwójną działką i z lubością ją uprawiał. Był sam. Kiedyś chodził do Kozła, ale jak się o coś pokłócili, już się więcej u niego nie pokazał. A Kozioł go wykorzystał. Pożyczył od niego pieniądze, a jak do oddania przyszło, powiedział, że mu tych pieniędzy nie odda, że mu się należą za to, że u jego szwagierki bywał, jak jeszcze żyła. Teraz był już na emeryturze i dobrze mu na świecie było, poza tym, że sam był. Jak każdy kolejarz, dobrze się na stacji czuje, codziennie chce słyszeć pociąg i według rozkładu jazdy żyje, choć rzadko podróżuje.

Maria często myślała: czemu ten człowiek stale na stacji przebywał? Przecież już nie musi jej pilnować, przecież już nie pracuje. Posądzała go, że ją pilnuje, i bała się go. A on chciał tylko życie zwykłych ludzi podglądać i myśleć sobie, jak by to było mieć swoją rodzinę. Kiedyś myślał o Marii ale ona go szmatą odgoniła. Była za młoda. Potem się z tą kulawą szwagierką Kozła związał. Umarła i został sam, i ciągle za czymś tęsknił. To dziecko Brunki było niezwykłym zjawiskiem. Te chwile na peronowej ławce, gdy Hanysiek siadał obok i szczebiotał albo słuchał, co on mu opowiadał, albo tylko siedział i mlaskał landrynkę, którą był właśnie od opy Śliwy dostał.

Dziś siedział sam na peronowej ławce. Hanyska starsze dzieci Brunki zabrały. Już chodzi do szkoły i musi się uczyć, tak mu powiedział. Tak sobie myślał i uśmiechał się pod wąsem.

– Słuchajcie, panie Śliwa, już muszę iść, ale o coś was poproszę – powiedziała Maria i usiadła obok na ławce.

– Co mam zrobić? – burknął pod nosem.

– Erika przyjedzie o szóstej, to powiedzcie jej, żeby zaraz do domu przyszła, bo się coś smykać zaczęła. Coś mi się zdaje, że za późno do domu przychodzi. Ostatnio to tak było, że pociąg już dawno a dawno przejechał, a mojej Ericzki nie ma i nie ma. Późno przychodzi, potem się uczyć musi i nic mi już w domu nie pomaga. Gdyby nie Peter i Liza, to już bym sobie nie poradziła – tak narzekała Maria. Wstała i szybkim krokiem do domu poszła.

Jeszcze był ładny dzień. Jeszcze słońce wysoko było. Jeszcze

mogła coś w polu zrobić. Jeszcze ze trzy koszyki kartofli ukopać. Peter jej pomoże, jest silny, umie już sam kosz z kartoflami podnieść na ramię i tak nieść. Miał wprawdzie krowy wygnać na łąkę i pilnować ich, ale krów może Liza z Hanyskiem pilnować, a Peter jej pomoże przy kartoflach.

Liza siedziała w kuchni przy stole i dziurki wyszywała. Było posprzątane, talerze pomyte, podłoga zamieciona. Nisko się pochylała i szyła.

– Lizko, idź teraz ty do krów, a Peter mi kartofle kopać pomoże – powiedziała do niej Maria. Liza wstała, odłożyła szmatkę z obrabianą dziurką, spojrzała na mamę. Miała zapłakane oczy. Maria udawała, że tego nie widzi. Nie chciała widzieć. Nie wiedziała, jak pomóc, jak pocieszyć. Liza była skrytym dzieckiem i nic sama nie mówiła, ale Maria wiedziała, skąd ten płacz, wiedziała, że kolejne dziecko jest w szkole hanyską, szwabką. Tą gorszą. W tej szkole nie była jednak sama. Połowa klasy była tutejsza, Ślązaków, druga połowa – to byli Polacy. Tak było w szkołach zawodowych. Szkoły zawodowe były dla Ślązaków. Oni mieli być robotnikami, oni mieli tworzyć bazę rąk do pracy w przemyśle i w rolnictwie. Oni nie mogli zostać inteligentami, artystami, urzędnikami, nie mówiąc o lekarzach, prawnikach, nauczycielach. Ślązacy byli ślusarzami, stolarzami, kierowcami, mechanikami, a dziewczyny kucharkami, krawcowymi, pielęgniarkami, kelnerkami. Najlepiej gdyby pozostały na etapie siedmioklasowej szkoły podstawowej i siedziały na swojej wsi, co najwyżej zatrudniły się jako salowa w szpitalu, sprzątaczką w biurze, pakowaczką w fabryce cukierków albo ekspedientką w byle jakim sklepie. A Liza chciała być artystką. Nie chciała tych dziurek obrabiać, nie chciała szyć.

Za to Peter był chłopcem szczęśliwym. Nigdy się Marii nie sprzeciwiał. Choć wiedział, że nie jest jego matką, nie wyobrażał sobie innej, lepszej i bardzo ją kochał. Sam sobie tę szkołę wybrał i chętnie się uczył, chętnie też pomagał Marii. Cieszył się, że mógł z Lizą do Opola jeździć. Liza była tą siostrą ukochaną. Trzymali się razem, od kiedy się w tej rodzinie znalazł. Nie wyobrażał sobie, że kiedyś mogłoby być inaczej.

Z Eriką się nie kłócił, ale jej nie lubił. Nieraz mu przypominała,

że nie jest jej bratem, że nie jest z ich rodziny, że jest sierotą, znajdą. Mówiła mu tak tylko wtedy, gdy mama nie słyszała. On się nie skarżył. Nieraz Liza na Erikę mamie poskarżyła, że znowu do Petra „znajda” mówiła. Wtedy musiała go Erika przeproszać.

Wydarzyły się Marii te dzieci. Wszystkie mądre były i wszystkie chciały się uczyć. Jako tako zdrowe. Z Eriki taka piękna dziewczyna wyrosła, że aż się Maria dziwiła.

Wysoka, z burzą ciemnych, lekko kręconych włosów, splecionych w warkocze, zwracała na siebie uwagę. W spojrzeniu jej ciemnoniebieskich oczu był jakiś smutek, żal jakiś, nie wiadomo do kogo, jakaś może tajemnica przed wszystkimi skrywana i tylko w oczach odbita. Tak jakoś zmienacka z dziecka panną się stała. Jeszcze nie całkiem dorosła, ale już nie dziecko. Już wiedziała, że jest ładna, już się prosto trzymała i za siebie się nie oglądała. Już widziała, że za nią się oglądają.

Jakoś jej się udało w tej szkole trwać, przechodzić z klasy do klasy, choć zawsze tylko trójki miała na świadectwie. Była solidna i dużo się uczyła. Ładnie już na akordeonie grała i ładnie śpiewała, i była mistrzynią szkoły w biegu na czterysta metrów.

Lubiła biegać, a nauczyciel WF i kółka sportowego był jej przychylny. Wszyscy uczniowie musieli do czegoś tam należeć. Były to różne kółka lub organizacje. Sport to było coś, co ją pociągało. Biegi, rywalizacja i wygrywanie – to właśnie lubiła. Tylko tu mogła być lepsza, a co najmniej równa innym. Tylko tu liczyło się prawdziwe osiągnięcie, wynik sportowy, uzyskany czas.

Wysiadła z pociągu zmęczona, głodna, zła. Znów dwóję z języka rosyjskiego dostała. Mówiła po rosyjsku nawet dobrze, tylko akcent źle stawiała. Teoretycznie wiedziała wszystko o akcencie, ale jakoś jej się po polsku, a może po śląsku te rosyjskie bukwę akcentowało.

– Udarzenie, udarzenie! Kiedy ty się tego chamskiego, szwabskiego akcentu pozbędziesz – krzyczał Kazurin, profesor rusycysta, powszechnie przez uczniów Saszka nazywany.

– Siadaj, Brun. Niedostateczny – powiedział już trochę ciszej i Erika usiadła. Nie płakała. Już dawno nie płakała, choć wiedziała,

że u Saszki jest mile widziane, gdy się płacze, gdy się prosi o lepszą ocenę.

– Eriko, masz iść zaraz do domu, twoja mama tak kazała – zawołał Śliwa i przerwał te złe myśli.

– Idę przecież do domu, gdzie bym iść miała? – odpowiedziała niegrzecznie. Wszyscy dorośli chcieli ją wychowywać, wszyscy ją pouczali: w domu mama, no dobrze, to jest przecież mama, w szkole wychowawczyni i dyrektor, i teraz jeszcze ten stary. A ojca nie było, a papy nie było. Nie skarżyła się, ale w chwilach bezradności okrutnie go brakowało. Ta wieczna tęsknota za ojcem już na stałe w niej zamieszkała. Nie było dnia, żeby o nim nie myślała, budząc się rankiem i zasypiając wieczorem. Mama pilnowała wieczornego pacierza, ale ona wtedy nie z Bogiem, a z ojcem rozmawiała. Był już tak daleki i jak Bóg niewiadomy i odległy.

## Rozdział 2

Bardzo liczna klasa szkoły zawodowej. Czterdzieści uczennic. Same dziewczyny uczyły się krawiectwa lekkiego. Chłopcy byli w równoległej klasie i to było krawiectwo ciężkie.

Pani Nowak – nauczycielka zawodu – weszła do klasy zaraz po dzwonku. Była to piękna kobieta. Poruszała się z gracją, wysoka, trzymała się prosto, zawsze skromnie, ale nienagannie ubrana. Widać było, że sama szyła sobie ubrania. Mydłem zawsze pachniała.

– Pokażcie wasze prace domowe – powiedziała do dziewcząt zdecydowanym niskim głosem. – Brun, co było zadane?

Liza wstała.

– Sześć dziurek – powiedziała cicho.

– Jeszcze raz, głośniej, no proszę, Brun.

– Mielimy. . .

– Co to znaczy „mielimy”? Mieliliśmy. . . a właściwie miałyśmy, bo tu są przecież same dziewczyny. . .

– Miałyśmy sześć dziurek obrobić – poprawiła się Liza.

– No, pokażcie swoje prace. A ty, Brun, siadaj i zacznij wreszcie mówić po polsku – powiedziała nauczycielka i Liza usiadła, spocona, czerwona i ze łzami w oczach. Wyciągnęła swoje szmatki z obszytymi dziurkami, ale pani była już znowu przy niej i wzięła do ręki właśnie tę szmatkę, której widzieć nie powinna. Ta dziurka była najpiękniej obszyta, ale ozdabiał ją jeszcze haft dodatkowy: na końcach dziurki były kwiatuszki i listki, i łodyżka łańcuszkowym ściegiem wyszyta. Wyszywała to Liza już na końcu, dla siebie chciała coś ładnego zrobić.

– A ty cóż znowu za dzieło sztuki stworzyłaś? – powiedziała pani Nowak, podnosząc tę artystyczną szmatkę tak, by wszyscy ją mogli zobaczyć, a klasa parsknęła śmiechem.